

# TEATR MIEJSKI

im. JULIUSZA SŁOWACKIEGO W KRAKOWIE

---

ALEKSANDRA FREDRY

## ZEMSTA

KOMEDIA W 4-ECH AKTACH (5-CIU ODSŁONACH)

Z UDZIAŁEM

MIECZYŚŁAWY ĆWIKLIŃSKIEJ

LUDWIKA SOLSKIEGO

JERZEGO LESZCZYŃSKIEGO

### OSOBY:

|                                |                                   |
|--------------------------------|-----------------------------------|
| Cześnik Raptusiewicz . . . . . | Jerzy Leszczyński                 |
| Kłara, jego synowica . . . . . | Kazimiera Szyszko-Bohusz          |
| Rejent Milczek . . . . .       | Józef Karbowski                   |
| Wacław, syn Rejenta . . . . .  | Jerzy Kaliszewski                 |
| Podstolina . . . . .           | Mieczysława Ćwiklińska            |
| Papkin . . . . .               | Kazimierz Szubert                 |
| Dyndalski, Marszałek           | } Cześnika . . . . . Adam Zemanek |
| Śmigalski, Dworzanin           |                                   |
| Perelka, Kuchmistrz            |                                   |
| Murarz I. . . . .              | Stanisław Jaworski                |
| Murarz II. . . . .             | Ludwik Barda                      |

Murarze, hajduki, pachołki.

REŻYSERIA: TEOFIL TRZCIŃSKI

OPRAWA DEKORACYJNA: KAROL GAJEWSKI

---

DLUŻSZA PAUZA PO 3-CIEJ ODSŁONIE



## FREDRO I TEATR KRAKOWSKI

(urywek z większej całości p. t. »Fredro dzisiaj«)

W czynnym kulcie Fredry scena krakowska wiodła zawsze prym przed wszystkimi innymi. Może pięciokrotnie większa Warszawa górowała niekiedy liczbą przedstawień, zwłaszcza za życia Żółkowskiego, którego muzealne kreacje Geldhaba, Smakosza, Szambelana w »Jowialskim«, Majora w »Damach« a później Jenialkiewicza przyciągały do teatru tłumy przez dziesiątki lat. Ale pod względem inicjatywy w przypominaniu coraz to nowych komedji, zrzadka granych, a także w dziedzinie innowacji inscenizacyjnych, kroczył Kraków na czele. Z historii starego teatru przy pl. Szczepańskim, o którym tu mowy nie będzie, warto zapisać bodaj ten jeden szczegół, iż gdy po śmierci Fredry rodzina wydała teatrom spuściznę komediową poety, jeden jedyny Stanisław Koźmian w Krakowie wypełnił ten cykl skrupulatnie w całości, teatr lwowski już niezupełnie, podczas gdy w Warszawie zaledwie kilka z tych komedji weszło na scenę.

Przez 46 lat istnienia nowego teatru krakowskiego, t. j. od roku 1893 do 1939, pojawił się Fredro na afiszu ogółem 562 razy, na którą to cyfrę złożyło się 29 sztuk wystawionych. Jeżeli ta szczupła istotnie liczba może kogo dziwić, to porównawczo przytoczmy, iż w tymże okresie poeta polski, najczęściej grywany t. j. Wyspiański figuruje z cyfrą 652 widowisk (16 sztuk), zaś patron teatru Słowacki zajmuje trzecie miejsce z 14-ma sztukami odegranymi 568 razy.

Na poczet tych 29 komedji złożyły się: 1) Śluby panięńskie, 2) Zemsta, 3) Dożywocie, 4) Pan Jowialski, 5) Wielki człowiek do małych interesów, 6) Damy i huzary, 7) Pan Geldhab, 8) Przyjaciele, 9) Pan Benet, 10) Gwałtu co się dzieje, 11) Dwie bliźny, 12) Zrzędność i przekora, 13) Jestem zabójcą, 14) Odludki i poeta, 15) Mąż i żona, 16) Nowy Don Kiszot, 17) Intryga na przedce, 18) Ciotunia, 19) Ostatnia wola, 20) Lita et Compagnie, 21) Co tu kłopotu, 22) Ożenić się nie mogę, 23) Brytan Bryś, 24) List, 25) Rewolwer, 26) Z Przemysła do Przeszowy, 27) Świeczka zgasła, 28) Nikt mnie nie zna, 29) Wychowanka.

Pod względem liczby powtórzeń pierwsze miejsce zajmują »Śluby« grane 81 razy, po nich »Zemsta« — 72 razy, dalej »Dożywocie« — 50 razy, »Jowialski« — 49 razy, »Wielki człowiek« — 44 razy, »Damy i huzary« — 41 razy, »Geldhab« — 38 razy, »Przyjaciele« — 22 razy, »Pan Benet« — 20 razy. Wszystkie inne grano zaledwie po kilkanaście lub kilka razy. Wśród tych znajduje się też prapremiera komedji, niegranej przedtem nigdzie. Jest nią komedio-bajka zwierzęca »Brytan Bryś« wystawiona przez Kotarbińskiego 18 maja 1901 r.

Oto cyfry przedstawień fredrowskich za 9 dyrekcji teatru krakowskiego:

| okres     | dyrektor                | widowisk | sztuk |
|-----------|-------------------------|----------|-------|
| 1893—1899 | Tadeusz Pawlikowski     | 83       | 19    |
| 1899—1905 | Józef Kotarbiński       | 53       | 11    |
| 1905—1913 | Ludwik Solski           | 94       | 14    |
| 1913—1915 | Tadeusz Pawlikowski     | 2        | 1     |
| 1915—1916 | Lucjan Rydel            | 14       | 4     |
| 1916—1918 | Adam Grzymała-Siedlecki | 75       | 10    |
| 1918—1926 | Teofil Trzcziński       | 120      | 12    |
| 1926—1929 | Zygmunt Nowakowski      | —        | —     |
| 1929—1932 | Teofil Trzcziński       | 24       | 4     |
| 1932—1935 | Juliusz Osterwa         | 44       | 4     |
| 1935—1939 | Karol Frycz             | 53       | 4     |

Jak widzimy, szczególnie imponująco przedstawia się dwuletnia dyrekcja Adama Grzymały-Siedleckiego ze swymi 10 sztukami w 75 widowiskach. Na przeciwnym biegunie stoi dyrekcja Zygmunta Nowakowskiego, który, choć sam wielbiciel Fredry, ani jednej z jego komedji nie uwzględnił w repertuarze.

Jeżeli jednak zważyć, że w dobie otwarcia nowego teatru posiadał Kraków zaledwie około 70.000 mieszkańców, to na pierwszy plan wysuwa się niezawodnie 6-lecie T. Pawlikowskiego z 19 komedjami, pokazanymi w 83 widowiskach. W tej 19-ce jest kilka sztuk, nigdy już później nie wznawianych, jak »Rewolwer«, »Świeczka zgasła«, »Nikt mnie nie zna«, »Z Przemysła do Przeszowy«. Dla porównania warto tu podać cyfry z warszawskich Rozmaitości z tegoż samego prawie okresu, bo z 9-lecia od 1891—1900 r. W tym czasie grano tam Fredrę 194 razy, sztuk zaledwie 9, w dziejach teatru Fredrowskiego w Polsce ma to 6-ciolecie zresztą znaczenie historyczne od pierwszej całowieczorowej komedji t. j. »Ślubów«, odegranych na 4-ty dzień po otwarciu nowego teatru, 25. X. 1893. Do tego dnia mianowicie wystawiano w teatrach naszych komedie Fredry zasadniczo w kostiumach współczesnych, z nieokreśloną tylko archaizacją ubioru niektórych szczególnie charakterystycznych figur. Pawlikowski pierwszy ubrał »Śluby« w najczystszy em p i r e, przedziwnie harmonizujący ze stylem tego arcydzieła i wszystkie dalsze komedie dawał w kostiumach daty napisania sztuki. Była to rewolucja dla naszego teatru niemniej doniosła, jak dla francuskiego w końcu XVIII w. przybranie przez Mlle Clairon bohaterki Corneille'a i Racine'a w autentyczny kostium rzymski, miast ciężkich aksamiitnych draperji, opiętych na vertugadinach i peruk pudrowanych. Za przykładem Krakowa zaczęły iść inne teatry dość opornie początkowo. Bądź co bądź Fredro przechodził przez to z »tanich« autorów, t. zn. bez wydatków na wystawy, do kategorii »kosztownych«. Toteż pierwszy wpływ krakowskiego wzoru okazał się dopiero w 3 lata później w warszawskich Rozmaitościach, gdzie wystawiono »Zrzędność« już całkowicie stylowo, co prasa podnosiła jako wielkie zdarzenie.

Wróćmy do pierwszego 6-lecia w Krakowie. Zespół aktorski był wówczas szczególnie bogaty w specjalistów fredrowskich, biorąc choćby »Zemstę« mógł Kraków wystawić aż trzech Cześniaków i wszystkich wyborczych, choć każdy inny. (Dziś jakże trudno o jednego!) Edmund Rygiel z plejady uczniów Derynga, fanatyka Fredry, swoim ognistym temperamentem akcentował zwłaszcza »raptusiewiczostwo«, Anastazy Trapszo, patriarchy dynastji aktorskiej Trapszów, był znów przedewszystkiem wielkim panem, Marceł Zboiński postacią i ruchami stworzony do kontusza, pamiętał przecie o mimowiednym komiżynie tej postaci. Dyndalskich było dwóch paradnych i dwóch skromniejszych, chociaż też kapitalnych. Kazimierz Kamiński, mało komu jeszcze znany, był sensacją inauguracyjnego spektaklu, w tej roli. Zaszuszona mumia, bezwolny, zahukany cień swojego pana, arcykomiczny w bezradności, Solski, choć też wiecznie w strachu przed swoim panem, rozjaśniał tę figurę akcentami utajonej jowialności. Przy tych asach, Leon Stępowski i stary Feliksiewicz mogli się przecież ostać z dużym honorem. I Papkinów miał teatr dwóch: Solskiego i Siemaszkę, w razie potrzeby mógł go grać bardzo interesująco J. Popławski.

Historia widowisk Fredrowskich, choćby tylko w jednym teatrze, jest tematem tak obszernym, tak bogatym w mnóstwo szczegółów, że nie podobna jej nietylko wyczerpać, ale nawet streścić na przestrzeni kilkudziesięciu wierszy, tembardziej, wyjętych z całości mającej inne cele na oku.

A samo pierwsze sześćdziesiąt lat tego teatru zasługiwałoby na osobne studium postaci aktorskich, już wspomnianych i innych, niezapomnianych; by wspomnieć tylko Klarę i Anielę w »Ślubach« — Morską — Popławską i Teklę Trapszo, Geldhaba — Siemaszki, Kapelana — Kamińskiego, Twardosza — Knake-Zawadzkiego, Albina — Śliwickiego... wszystko to wspomnienia, które tym co je przeżywali w teatrze nie wyjdą z pamięci. Nikogo z wymienionych niema już wśród żyjących.

Toteż najgłębszą radością napawać nas może fakt, iż jeden z uczestników owych Fredrowskich festiwałów, zarazem jeden z najświetniejszych odtwórców postaci Fredry, jest jeszcze wśród nas, w pełni sił, rzeźki, wiecznie młody, Ludwik Solski. Na deskach tego teatru kreował po raz pierwszy tego Dyndalskiego, w którym go teraz ujrzymy. Na tejsze scenie odtwarzał po raz pierwszy w swej karierze legendarnego Łatkę w dniu 31. X. 1894. Obecne przedstawienie »Zemsty« jest więc świętem Pisarza, po blisko 6-ciu latach wracającego na oddaną mu scenę i świętem wielkiej sztuki aktorskiej przeszłości, wzoru i przykładu dla tych młodych, którzy teraz wstępują w szranki, w służbie: odnowienia wiecznie żywego Fredry.



## ODRODZENIE - ŚMIECHEM

(Na marginesie cyklu komedyj Fredry).

Historię pisze się, niestety, krwią. Historię pisze się także śmiechem. Śmiechem, który ma moc oczyszczającą i odradzającą człowieka.

Wielka poezja nasza, zrodzona z bohaterstwa i męczeństw niewoli, prowadziła nas do zwycięstw, ale równocześnie skrzywiła psychikę kilku pokoleń. Przede wszystkim oduczyła nas mądrego i jasnego spojrzenia w rzeczywistość, nie pozwoliła nam na śmiałość i pogodność, czy nawet ostre w satyrze wniknięcie w głąb naszej myśli i czynów. Nie jest napewno dziełem przypadku, że w okresie Stanisławowskim, w dniach, gdy Polska chyliła się ku tragicznemu upadkowi, obok Kuźnicy Kolałatajowskiej działali wybitni pisarze, którzy śmiechem, humorem i satyrą ratowali i dźwigali naród. To był ich świadomy program. I nie jest także napewno dziełem przypadku, że wielkość nasza w XVI i w XVII wieku wytyczali, obok mężów stanu, i pisarze, którzy wlatując tam, gdzie graniczy Stwórca i natura, umieli równocześnie trzeźwo chodzić po ziemi, śmiać się fraszkami z otaczającej ich rzeczywistości, biczem satyry chłostać głupotę, bezmyślność i maruderów.

Nad schorzałą Polską ulitowało się opiekuńcze losy i dały nam nieco zdrowia, dały nam Aleksandra Fredrę. Nie miał jednak ten twórca polskiego śmiechu szczęścia ani do współczesnych, ani do niedawnych przedwojennych, zaprzysiężonych fredrologów. Był jeden sprawiedliwy dla Fredry człowiek w Polsce i ten nie żyje: Tadeusz Boy-Żeleński. Ale zostawił książkę, która musi żyć w umysłach i w czynie — »Obrachunki Fredrowskie«.

Polecając tę książkę jako katechizm wiedzy o Fredrze, pragnę dziś zwrócić uwagę na przemilczane i mało znane momenty jego pisarskiej działalności.

Dzieci twórcy »Ślubów Panieńskich« i »Zemsty« twierdziły, że ojciec ich miał »wrodzoną skłonność do smutku« i że »melancholia to jeden z głównych rysów jego charakteru«. Sam poeta przyznawał się do chorobliwej wrażliwości. Sprawiała ona, że często drobne i niepozorne epizody życiowe urastały do rozmiarów wielkich przykrości i zmartwień, które »sącząc się kropla po kropli, zaćmiły nareszcie ów świeży połysk duszy, w którym świat odbija się tak pięknie a tak nietrwale«. Owa przesadna wrażliwość była też powodem 40-letniego milczenia Fredry, a 15-letniej zupełnej separacji od pióra, zjawisk tembardziej niezrozumiałych u dawnego żołnierza i pisarza o wielkiej pasji twórczej, że ich przyczyną były dwie surowe, zjadliwe, ale niezbyt wykraczające poza prawa krytyki, recenzje z roku 1835 Wincentego Pola i Seweryna Goszczyńskiego.

Mimo tego smutnego usposobienia, ataków »spleenu« i zgryźliwości, o której rodzina Fredry wspominała, pesymizmu w komediach autora »Dam i Huzarów« prawie nie znajdujemy. Przeciwnie, tem nawet różni się silnie od Moliера, którego »Grzegorz Dandin« kończy się bolesnym zwycięstwem wiarołomnej żony. U Fredry zawsze nad złem triumfuje cnota i dobroć. Nawet w »Dożywociu«, gdzie nuta melancholji dochodzi nieco do głosu, zwłaszcza w apostrofie Orgona: »Świecie, ty krętaczu stary...«, będącej szczerym odkryciem nastroju psychicznego poety, zagłusza ją wyborem humorem, kapitalnymi wesołościami dialogami i sytuacjami. »Pod tym względem Fredro — stwierdził taki rzeczoznawca jak Boy-Żeleński — jest zwyciężskim rywalem Moliера, który wesołość swego »Skąpca« osiągnął — i to bardzo względnie — za pomocą wirtuotów i przybudówek; raz poraż sztuka chyli się w stronę dramatu, podczas gdy u Fredry »Dożywocie« niemniej pewnymi strzałami, waląc raz poraż w samo centrum, rozwija się z cudowną jednością, logiką i leje się nieprzerwaną strugą humoru«.

Wyjątkowo jednak silnie dochodzi do głosu smutek i zgryźliwa ironia Fredry w lirycznych drobnych utworach, głównie w satyrach, dziś niemal zupełnie zapomnianych, którymi usiłował moralizować i naświetlać, jak dotąd niezmiennie w naszym społeczeństwie, błędy i wady.

Głupota i mędrkowanie, obłuda i przewrotność, zła organizacja szkolnictwa, zwłaszcza powszechnego, »frymarstwo przekupnych dzienników«, zawiści partyjne i społeczne, a przede wszystkim czerpanie wzorów z zagranicy i bezkrytyczne przeszczepianie na grunt rodzinny obcych prądów postępowych — zdaniem Fredry — staczało



Polskę w otchłań rozkładu moralnego i politycznego, przyspieszyło jej zgubę. Dawne czasy uważał za lepsze. Chwalił przodków zbyt przesadnie, popełniając ogólnopolski błąd. Jesteśmy zawsze skłonni widzieć zalety tylko u poprzedników, a nie doceniać dodatnich rysów ludzi i prądów sobie współczesnych. A choć autor »Zemsty« przyznaje mimochodem, że i dawniej ludzie »błądzili«, to jednak sądzi, że »nawet w ich błędach coś wyższego było...«

Za jedną z głównych wad narodowych uważa najsluszniej beztroską lekkomyślność, zdanie się na kapryśny los, ową wiarę, że »nie ma nic złego, coby na dobre nie wyszło«. Piętnuje więc ostro opuszczanie rąk, bez chęci walki z przeciwnościami, owe narodowe »jakoś to będzie«, płynące z lenistwa duchowego i fizycznego, uniemożliwiające rozwinięcie działalności tam, gdzie nawet obowiązek tego wymaga. Te przede wszystkim nałogi wpędziły Polaków w nędzę, a nawet w niewolę. Wystrzegać się także należy lekkomyślności w gościnności, bo ona sprowadza groźniejsze następstwa, przed którymi przestrzegał już Wacław Potocki, twierdząc, że przesadna grzeczność, gwałcąca niejednokrotnie wolność osobistą ofiary, równa się rozbojowi.

Poświęcivszy dopiero co wspomnianym wadom głównie utwory p. t.: »Jakoś to będzie« i »Straszny Przyjaciel«, ciętą charakterystykę swego społeczeństwa daje Fredro w wierszu p. t.: »Doktorowie«:

»Wielkich ludzi w tych czasach, jak grzybów po słońcu;  
Jest niczym, chce być wszystkim, takich mamy krocie...«

Ludzie, nawet wykształceni, »doktorowie«, pchają się, nie przebierając w środkach, »jakąkolwiek drogą«, — bez skrupułów moralnych — na coraz wyższe szczeble drabiny społecznej, myśląc jedynie o niezasłużonych najczęściej zaszczytach, odznaczeniach i jak najlepszej synekurze, zdobywanej choćby na gruzach cudzego szczęścia. A dla osiągnięcia upragnionego celu, dla uzyskania taniej popularności nie wahają się nawet przed demagogicznym a fałszywym podszywaniem się pod wzniosłe ideologie i dobroczynne akcje, byle tylko pod ich osłoną dotrzeć do »pełnego żłobu«. Wówczas już mogą odsonić swe właściwe oblicze. Pod adresem takich rodaków, jakich wielu znał Fredro, jakich i my znaleźmy, a jakich znać nie chcemy, — woła poeta:

»O, doktorze! Jeżeli w głębiach twego łona  
Narodowość nie żyje jak matka rodzona  
Może gdzieś w dostojenstwach u szczytu zasiędziesz,  
Ale synem Ojczyzny nie jesteś, nie będziesz...«

Zwróciwszy gorzką uwagę na bezideowość i nieuczciwość niektórych odłamów sfery inteligencji, napiętnuje autor »Wielkiego człowieka do małych interesów« w wierszu »Wet za wet«, literacików-nieuków, którzy wcale nie myślą o pracy ideowej i artystycznej, sztukę traktują jedynie jako źródło dochodów.

Trudno nie przyznać, że wiele uwag Fredry nie straciło i dziś na aktualności, jak i ten okrzyk, który kończy jeden z drobnych, bez większych zresztą artystycznych wartości utworów: »Wszędzie widać rój ludzi, a nigdzie ludzkości«.

Akcentów moralizatorstwa, ostrej satyry, nie znajdziemy jednak w komediach. Dzieła Fredry to wielka poezja, nasycona polskością, polskością nieśmiertelną, a twórczą, bo objawioną — śmiechem. Rozkoszne »Damy i Huzary« — czy wspaniała »Zemsta«, to nie obrazki rodzajowe, to nie apoteoza przeszłości, ale najwspanialsze witaminy humoru. Fredro patrzył na »czerepy rubaszne« z sentymentem, jak Mickiewicz w »Panu Tadeuszu«. Ale miał poczucie rzeczywistości i swej misji dziejowej w życiu narodu, który odrodził się mądrym spojrzeniem w głąb samego siebie, pogodą ducha, niespożytym śmiechem.